

Co się stało z prawdziwą Zieloną Wyspą?

Autor: Maciej Bitner

Udzielenie przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Unię Europejską 85 miliardów euro pomocy dla Irlandii było wydarzeniem całkowicie przeczącym obrazowi rzeczywistości wielu sympatyków wolnego rynku. Uratowanie Grecji znakomicie się weń wpasowywało – był to przecież kraj od dawna borykający się z różnorodnymi problemami, takimi jak rozrośnięty sektor publiczny, przeregulowanie gospodarki, biurokratyzacja i korupcja. Z Irlandią sprawa wygląda zupełnie inaczej – zdaje się, że zetetyzowane kraje Europy uratowały bastion wolnego rynku.

Irlandia od lat zajmuje czołowe miejsce w [Indeksie Wolności Gospodarczej](#) Heritage Foundation; wyprzedza wszystkie kraje europejskie oraz Stany Zjednoczone. Ma najniższą stopę podatku CIT w krajach OECD (12%), a [dzień wolności podatkowej pracowników](#) wypadł w tym roku 27 kwietnia, czyli o 42 dni wcześniej niż w Polsce. Niższe obciążenia podatkowe w Unii Europejskiej są, według tego zestawienia, tylko na Cyprze i na Malcie. Na tle europejskiej średniej wysoka jest wprawdzie w Irlandii płaca minimalna, ale do tej pory nie stanowiło to poważnego problemu – w 2006 roku bezrobocie było na poziomie 4%.

Irlandia wypada korzystnie także z innych powodów. Korupcja uznawana jest tam za jedną z najniższych w Europie (w [rankingu](#) Transparency International wyprzedzają ją tylko kraje skandynawskie oraz Szwajcaria, Luksemburg i Holandia), siła robocza jest stosunkowo młoda, dobrze wykształcona i – co ważne dla inwestorów amerykańskich – mówiąca po angielsku. Temu wszystkiemu Irlandia zawdzięcza niesłychany jak na Europę sześćoipółprocentowy wzrost gospodarczy (w latach 1990-2007), dzięki któremu zyskała miano Celtyckiego Tygrysa.

Tak dobra sytuacja gospodarcza Zielonej Wyspy przed kryzysem skontrastowana z obecnym załamaniem prowokuje do snucia teorii spiskowych. Może żaden kryzys nie miałby miejsca, gdyby system bankowy nie został pozbawiony finansowania, którego nagle odmówiły banki w strefie euro? Może

pakiet ratunkowy jest tak naprawdę perfidnie przemyślaną akcją mającą na celu pozbawienie gospodarki irlandzkiej konkurencyjności przez wymuszenie podwyżki podatków i przygniecenie jej długiem publicznym? Czyż o złych intencjach Brukseli nie świadczy to, że pożyczka dla Irlandii ma wyższe oprocentowanie (5,8%) niż ta udzielona Grecji pół roku temu (5,2%)?

Niestety, upadek Celtyckiego Tygrysa nie jest skutkiem brukselskiego spisku. Irlandczycy sami sobie zgotowali taki los; w obecnej sytuacji pomoc była jedynym oprócz bankructwa dostępnym wyjściem. Dług publiczny, który w 2007 roku wynosił zaledwie 25% PKB, w tym roku zbliży się niebezpiecznie do granicy 100% PKB. Tegoroczny deficyt wyniesie 32%, przekraczając ponad dziesięciokrotnie kryteria z Maastricht. Wzrost gospodarczy znalazł się powyżej zera od początku 2007 roku tylko w jednym kwartale, a irlandzkie banki finansują kredytem z EBC już 20% swoich aktywów; bezrobocie sięga zaś 14%. Jak to się stało, że przez trzy lata Celtycki Tygrys stracił wszystkie zęby?

Na dzisiejszą fatalną sytuację złożyły się przede wszystkim dwa elementy: niezdrowy boom trwający mniej więcej od początku mijającej dekady oraz fatalna decyzja rządu podjęta na początku kryzysu finansowego. Sercem boomu był, jak to się często zdarza, rynek nieruchomości. Od połowy lat 90-tych do 2007 roku nastąpił trzykrotny realny wzrost cen domów. Proces ten przebiegał w dwóch fazach: na przełomie stulecia tempo wzrostu wyraźnie zwolniło, by potem znów przyspieszyć, wraz z wejściem Irlandii do strefy euro. Łatwy kredyt, uzyskiwany dzięki niskim stopom obowiązującym na kontynencie, wyraźnie przyczynił się do nadania drugiej fazie boomu mocno spekulacyjnego charakteru. Mieszkańcy Zielonej Wyspy masowo kupowali nieruchomości na kredyt z myślą o ich odsprzedaży bądź wynajmie (którego koszty – a więc i przychody wynajmujących – spadły w trakcie kryzysu o połowę).

Irlandzkie banki nie bardzo przejmowały się możliwymi negatywnymi konsekwencjami końca boomu. Aktywa najślawniejszego z nich – Anglo Irish Bank – rosły w latach 1998-2007 w tempie 36% rocznie. Towarzyszył temu wzrost ryzyka udzielanych kredytów – wkład własny dla dwóch trzecich kredytobiorców, którzy pierwszy raz kupowali nieruchomość, nie przekraczał 10% (w Polsce typowo jest to ok. 30%). By sprostać ogromnemu zapotrzebowaniu na kredyty hipoteczne, irlandzkie banki masowo zadłużały się (głównie krótkoterminowo) w innych bankach strefy euro. W latach 2003-2008

zadłużenie zagraniczne banków irlandzkich wzrosło z 10 do 60% PKB. Tak ożywiona akcja kredytowa na rynku nieruchomości nie mogła pozostać oczywiście bez wpływu na pozostałe sektory gospodarki, które siłą rzeczy musiały oddawać zasoby sektorowi budowlanemu. Zatrudnienie w tym sektorze podwoiło się, przekraczając 13% (dla porównania w Polsce w 2008 roku nie przekraczało 6%). Szacuje się, uwzględniając rozrośnięty sektor finansowy i branżę pośrednictwa w handlu nieruchomościami, że zawody związane z boorem wykonywała jedna piąta pracujących.

Boom gwałtownie skończył się, gdy zabrakło kolejnej fali kupujących. W związku z kryzysem w Stanach Zjednoczonych zanikł praktycznie popyt spekulacyjny, banki zaś drastycznie ograniczyły akcję kredytową, co było skutkiem trudności płynnościowych wynikłych z „zamarznięcia” rynku międzybankowego. Kłopoty z finansowaniem dotknęły także przedsiębiorstw, które zaczęły ograniczać etaty, pozbawiając wielu kredytobiorców możliwości spłacania pożyczek hipotecznych. To jeszcze bardziej pogorszyło sytuację sektora bankowego i kraj znalazł się w głębokiej recesji.

Gdy kryzys bankowy dopiero się rozpoczynał, jeszcze przed upadkiem Lehman Brothers, 30 września 2008 roku irlandzki rząd podjął decyzję, która doprowadziła do tego, że złośliwy żart powtarzany jesienią tamtego roku, iż Irlandię od Islandii dzieli tylko jedna litera i dwa lata, stał się prawdą. W kręgach irlandzkich polityków panowało przekonanie, że trudności płynnościowe sektora bankowego w całości wynikają z odmowy finansowania z zagranicy i nieelastyczności Europejskiego Banku Centralnego, który domaga się zbyt wysokiej jakości zabezpieczeń dla udzielenia pożyczek. Uważano, że banki krajowe są fundamentalnie zdrowe, a całe kłopoty są jedynie skutkiem utraty zaufania w rezultacie tego, co dzieje się za granicą. By przywrócić stabilność systemu finansowego i w obawie, że bankructwo Anglo Irish Bank może pociągnąć za sobą kolejne, rząd zdecydował się zagwarantować prawie wszystkie zobowiązania banków irlandzkich.

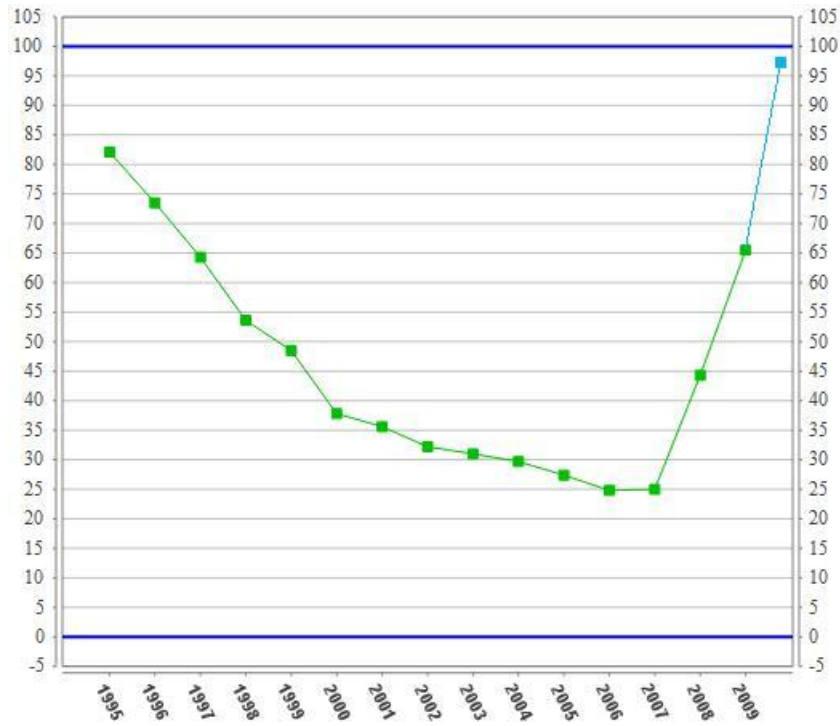
Krótkoterminowo poprawiło to sytuację, jednak już w grudniu 2008 roku, żeby dotrzymać danego słowa, z państwowej kasy dokapitalizowano banki. I to nie starczyło na długo. W styczniu 2009 roku rząd przejął Anglo Irish Bank, pokrywając w całości z budżetu narastające systematycznie straty, które kilkukrotnie przekroczyły najśmielsze wyobrażenia sprzed czterech miesięcy.

Tymczasem wpływy z podatków spadały, a recesja wywołała wzrost wydatków socjalnych. Relatywnie niski dług publiczny zaczął dramatycznie narastać. A stratom banków nie było końca. Szacuje się, że w latach 2007-2012 wyniosą one łącznie 55% obecnego PKB i prawie w całości zostaną pokryte z budżetu.

Jakie wnioski płyną z tych wydarzeń? Irlandzki filozof Eriugena, przebywający na dworze Karola Wielkiego, na pytanie zadane w trakcie uczty przez siedzącego naprzeciwko cesarza o to, co właściwie dzieli Irlandczyka od osła, odpowiedział: „Stół, Wasza Wysokość”. Czy dziś należałoby uznać, że jego błyskotliwa odpowiedź była nieprawdziwa, a rację w tym sporze ma rządzący na kontynencie francusko-niemiecki cesarz? Zdecydowanie nie – za kilka lat, jeśli nie zmieniony zostanie kurs polityki gospodarczej, Zielona Wyspa wyjdzie na prostą i zapewne znowu stanie się obiektem zazdrości. Warto jednak zwrócić uwagę na dwie rzeczy.

Po pierwsze inflacyjny system bankowy działający pod ochroną rządu i banku centralnego jest w stanie rzucić na kolana praktycznie każdą gospodarkę. Pokazuje to, jak ważna jest jego reforma w kierunku działania na zasadach prywatnej odpowiedzialności oraz poszanowania praw własności. Po drugie kryzys płynnościowy i kryzys niewypłacalności są w praktyce nie do odróżnienia, a walka z tym drugim tak jakby był tym pierwszym przynosi dramatyczne konsekwencje. Gdyby sektor bankowy od razu zbankrutował, straty ponieśliby depozytariusze i zagraniczni kredytodawcy, ale uniknięto by podwyżek podatków i olbrzymiego wysokooprocentowanego zadłużenia.

Gospodarka irlandzka została na chwilę odcięta od kredytu bankowego (co przecież i tak nastąpiło), lecz powstała próżnia szybko by się zapełniła. W innych krajach nie brakowało i nie brakuje kapitału, by zakładać nowe banki, mogliby wyłożyć go też wciąż przecież bardzo bogaci Irlandczycy. Pracowników i pomieszczeń pozostałych po dawnych bankach przecież by nie brakowało; irlandzkie prawo o bankructwie słynie ze swojej sprawności – aktywa Anglo Irish Bank i pozostałych banków byłyby szybko dostępne na rynku. Niestety na to odważne, choć przynoszące najmniejsze koszty rozwiązanie się nie zdecydowano. W proces rynkowy wkroczyli politycy, którzy zadali irlandzkiej gospodarce tak głębokie rany, że Celtycki Tygrys będzie się z nich lizał przez wiele lat.



Wykres 1 Dług publiczny Irlandii jako procent PKB. Źródło: Eurostat